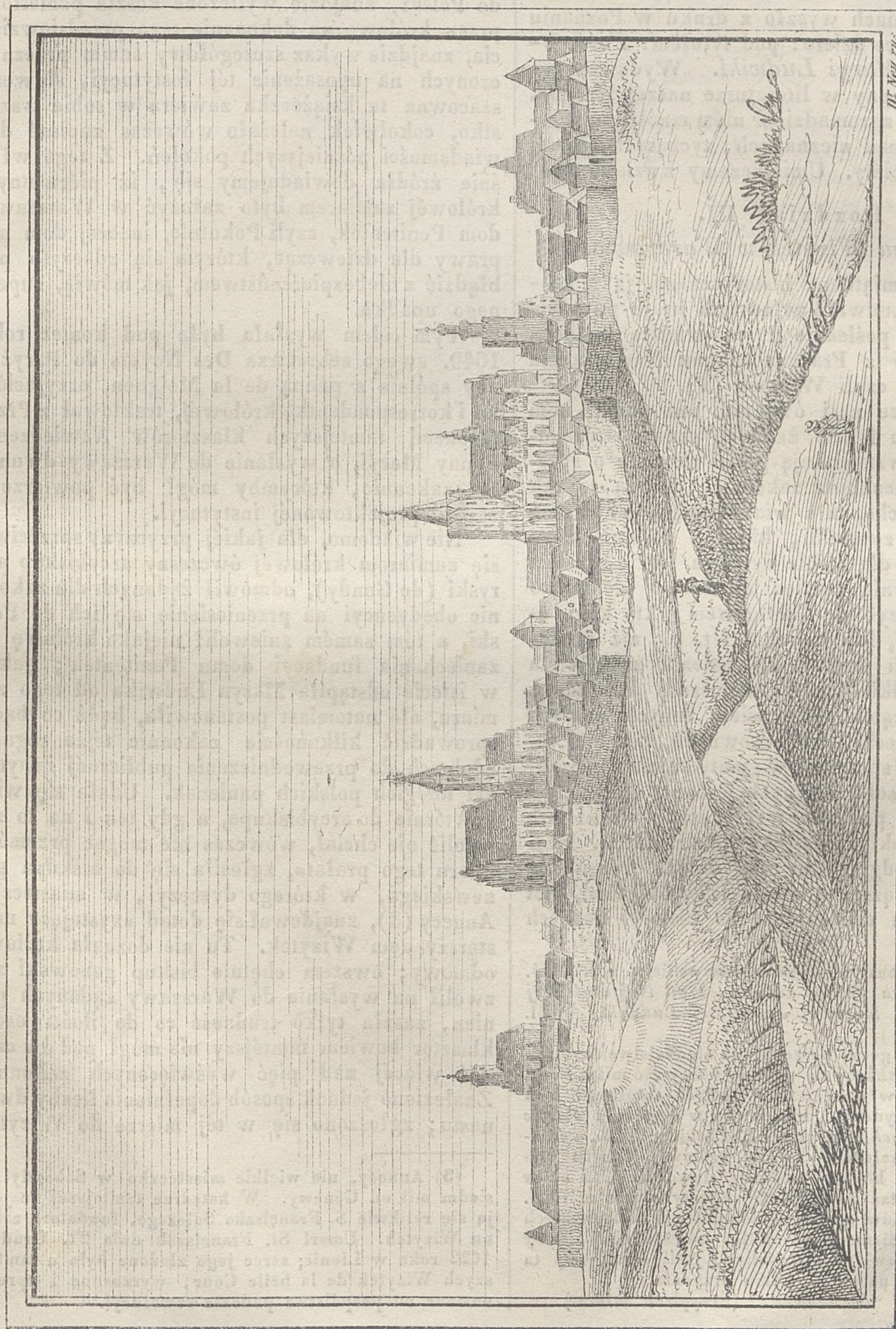
Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. **No. 48.** Leszno, *dnia 25. Maja* 1844.



Chełmno w roku 1833.

Chełmno w roku 1833.

Do opisu Chełmna, w dawniejszych numerach Przyjaciela ludu umieszczonego, dołączamy w niniejszym widok tego miasta w roku 1833. i kościoł S. Franciszka. Ostatni jest zapewne budową z 15 wieku i ma niejakie podobieństwo z kościołem Bożego ciała w Poznaniu.

W tych dniach wyszło z druku w Poznaniu bardzo zajmujące dzieło: pod tytułem: *Portofolio królowéj Maryi Ludwiki*. Wydawca jego, tak zasłużony w literaturze naszéj Hr. Ed. Raczyński, zgromadził w niém mnóstwo szczegółów, z kądinąd nieznanych, tyczących się téj znamienitéj kobiéty. Umieszczamy z dzieła tego:

Rozdział III.

Fundacya Wizytek w Warszawie.

Między pamiątkami historycznemi, jakie królowa Marya Ludwika w naszym kraju po sobie zostawiła, nie poślednie trzyma miejsce fundacya sprowadzonego z Francyi zakonu Nawiedzenia Panny Maryi, czyli Wizytek (1).

Lecz pisarze nasi ówcześni nie podali nam o tym ważnym fakcie żadnych prawie szczegółów, a jeśli wzmiankują gdzie niegdzie o sprowadzeniu francuzkich zakonnic, czynią to tak niedbale i głucho, iż z wiadomostek, jakie nam w téj mierze zostawili, historya najmniejszego nie wyciągnie dla siebie żywiołu. W ogólności łacniéj nierównie dowiedzieć się od nich, kto jakiém odznaczył się dziwactwem, kto kogo obuchem zwalił, lub najechał i t. p., niż doczytać się w ich memoarach imienia założyciela lub założycielki jakiéj użytecznéj instytucyi. Ztąd téż początek, jak wielu innych naszych zakładów świeckich i duchownych, tak będącego i w mowie, spoczywa w gmatwaninie najsprzeczniejszych z sobą dawnych podań (2).

Ciekawsze pod tym względem i ważniejsze są dla nas niekiedy książki cudzoziemskie. Między innemi odgrzebana nie dawno trafunkiem we Francyi książeczka nie wielkiéj objętości, jest nader ważnym materyałem do historyi naszych Wizytek; nie dość bowiem, że dochowała najdrobniejsze szczegóły dotyczące sprowadzenia z Francyi tych świętobliwych dziewic, ale nadto mieści jeszcze w sobie tak ważne i autentyczne dokumenta co do założenia piérwszego klasztoru w Warszawie, iż mogłaby, w razie potrzeby, zastąpić w Trybunale miejsce dyplomatu fundacyi. Znajdzie w niéj czytelnik wymienione pobudki i cel przywołania tego zakonu do Polski, znajdzie wyliczone koszta poniesione przez królowę na dokonanie tego przedsięwzięcia, znajdzie wykaz szczegółowy summ przeznaczonych na uposażenie téj instytucyi, słowem, szacowna ta książeczka zawiera w sobie wszystko, cokolwiek należało wówczas zapisać dla wiadomości późniejszych pokoleń. Z tego właśnie źródła dowiadujemy się, iż piérwotnym królowéj zamiarem było założyć w Warszawie dom Penitentek, czyli Pokutnic, inaczéj dom poprawy dla dziewcząt, którym się zdarzyło pobłądzić z niebezpieczeństwem, jak mówią, zupełnego upadku.

Tym celem wysłała była pod koniec roku 1649. swego sekretarza Des Noyers do Paryża, aby spólnie z panną de la Moignon, przyjaciółką i korrespondentką królowéj, traktował z Przełożonemi tamtejszych klasztorów Nawiedzenia Panny Maryi, o wysłanie do Warszawy dwunastu zakonnic, którymby mógł być powierzony zarząd projektowanéj instytucyi.

Nie wiadomo, dla jakiéj przyczyny sprzeciwił się zamiarom królowéj ówczesny arcybiskup paryski (de Gondy), odmówił żądanych dla zakonnic obedyencyi na przeniesienie się ich do Polski, a tém samém zniewolił niejako królowę do zaniechania fundacyi domu Penitentek; jakoż w istocie odstąpiła Marya Ludwika od tego zamiaru, ale natomiast postanowiła, bądź co bądź, sprowadzić kilkanaście zakonnic téjże reguły, zdolnych do przewodniczenia publicznéj instytucyi ubogich polskich panienek. Udała się więc powtórnie do arcybiskupa, a gdy ten i na to zezwolić nie chciał, wówczas nie mogąc przemódz uporu tego prałata, zgłosiła się do biskupa genewskiego, w którego dyecezyi, w miasteczku Annecy (3), znajdował się dotąd exystujący najstarszy dom Wizytek. Tu nie doznała królowa odmowy; owszem chętnie biskup genewski zezwolił na wysłanie do Warszawy żądanych panien, zaszła tylko trudność co do ilości osób, klasztor bowiem tamtéjszy nie mógł pod ów czas dać więcéj nad pięć wyświęconych zakonnic. Znaleziono jednak sposób dopełnienia liczby dwunastu; zgłoszono się w téj mierze do Wizytek

---

(1) Obacz konstyt. sejmu warszawskiego z r. 1654. Tytuł: *Fundacya panien zakonnych od Najjaśniejszéj małżonki naszéj królowéj Jéj Mości Ludwiki.* (Vol. Leg. IV. p. 452.)

(2) Jeśli się godzi narzekać na niedbalstwo dawniéjszych pisarzy, jakżeby się godziło pokrywać milczeniem podobne wady w dzisiejszych naszych autorach? Pan S...., autor wydanych nie dawno w Poznaniu *Tablic synchronistycznych*, utrzymuje pod rokiem 1642., że kościoł Wizytek założony był od królowéj Cycylii Renaty. Gruby to błąd historyczny, dowodzący, iż autor zaniedbał odczytać wspomnionéj konstytucyi z r. 1654. Podobnych błędów i niedokładności chronologicznych popełnił autor niezmiernie wiele! radzilibyśmy, żeby przejrzał i poprawił swoje tablice, jeśli chce, aby ta jego publikacya na co się komu przydała.

(Przypisek autora.)

(3) Annecy, nie wielkie miasteczko w Sabaudyi, o siedm mil od Genewy. W katedrze tamtejszéj znajdują się relikwie S. Franciszka Salezego, fundatora zakonu Wizytek. Umarł St. Franciszek dnia 22. Grudnia 1622 roku w Lionie; serce jego złożone było u tamtejszych Wizytek de la belle Cour, wyrzucone i sprofanowane od pospólstwa podczas rewolucyi.

trojerskich (4). Po krótkiéj negocyacyi z tym domem, otrzymano od niego siedm panien, które złączywszy się w Paryżu z siostrami przybyłemi z Annecy, udały się niezwłocznie do Dieppe, a ztamtąd wysłane zostały na hamburskim okręcie do Polski dnia 20. Sierpnia 1653 r.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O Tuluzie i jéj okolicach.

Przyjazd do Tuluzy.

Voyager, est quoique on en puisse dire, un des plus triste plaisir de la vie.
(*Staël.*)

„Ileż ma powabu życie samotne dla duszy skołatanéj mnogością cierpień i niesmaków. Natura ulecza jéj rany i obdarza pokojem, którego zawsze brak czuje się wśród ludzi.“ Tak mówiłem przybywszy do Mazamet, miasteczka położonego u spodu gór Świętego Felixa (1). Dnie całe przepędzając w pośród malowniczych jego okolic, lubiłem zatrzymywać się często, to przy szczątkach ruin dawnego zamku, służących dziś za mieszkanie gadom i ptastwu dzikiemu, to między skalistemi złomami, gdzie kaskada, w kształcie olbrzymiego srebrnego warkocza, spada z szumem podobnym do gwaru konar lasów białowiezkich, gdy burze wichrem w nie zadmią. Tam przeszłość usuwała z przed oczu moich swoję tajemniczą zasłonę. Tam wszystko to co było, odżywało w około mnie. Ale, mogłożże trwać ciągle złudzenie?... Niestety, nudy i tęsknota zwiększały się, gdym po stracie imaginacyjnego świata, widział się obok za nadto prozaicznéj, martwéj rzeczywistości. Mieszkańcy Mazamet, wszyscy bez wyjątku, zajęci tylko przędzeniem wełny i wyrabianiem z niéj sukna, mogliżże rozpogodzić zasępione czoło wędrowca?... Gdzie szukać rozrywki?... Wszędzie folusze, tkalnie, przędzalnie; bez wątpienia byłyby one posłużyły za przedmiot do korzystnych badań, dla umysłu mniéj schorzałego a więcéj rozmiłowanego, jak mój w przemyśle i handlu. Ja ponieważ do nich żadnéj nie czułem ponęty, postanowiłem udać się do Tuluzy, miasta znakomitego, nie tylko ze względu swéj starożytności, ale nadto z różnych zasobów, któremi szczyci się jako stolica południowéj Francyi. Zatém więc w połowie miesiąca Sierpnia 1832 roku wsiadłem ochoczo na dyliżans. Dzień pogodny, jak zwykle w letniéj porze i w kraju gdzie śniegi i mrozy polskim podobne nigdy nie panują, trochę uciążliwą czynił podróż, zwłaszcza w liczném gronie wojażerów; szczęście, że tuż przy okienku zająwszy miejsce, mogłem zachwycić kiedy niekiedy zbłąkany powiew lekkiego wiatru i bawić oczy widokiem urozmaiconego krajobrazu. Towarzysze moi ustawicznie prawili; mimo małomowności mojéj, udziału w ich rozmowie wziąć nie mogłem, z powodu dyalektu Patoa, którego w całéj południowéj Francyi wszystkie prawie klassy mieszkańców w potocznéj mowie używają. Dyalekt ten, czyli raczéj język, jest romańskim, powstałym z łacińskiego; chociaż go czas i napływ obcych wyrazów zepsuł, zachował się jednak w tak nazywanych dawniéj prowincyach: Gienny, Langwedoku, Russilonu, Katalonii i Prowancyi (2); dziś w każdéj niemal okolicy akcent jego jest różny i piękny w swoim rodzaju.

Po dwóch godzinach drogi, stanęliśmy w Kastr, mieście obwodowém, położoném w departamencie Tarn, liczącém do piętnastu tysięcy mieszkańców, które wzniosłszy się na miejscu dawnego Rzymian obozu, jego sobie nazwisko przybrało. Jak wszystkich miast starożytnych Francyi, tak też i Kastr ulice są ciasne i źle zabudowane. Przyjęciem nauki Lutra, stało się po kilkakroć razy teatrem krwawych wojen religijnych. Ludwik XIII., zburzył otaczające go wały; na ich miejscu rozrosłe drzewa, miłego użyczają cienia lubiącym się przechadzać tylko w dni świąteczne mieszkańcom.

Zaledwie kilka kroków od domu pocztowego oddaliłem się, gdy konduktor zawołał, aby wsiadać. Posłuszny temu wezwaniu, z pośpiechem wsiadłem do dyliżansu nieco wygodniejszego jak piérwszy, w którym towarzystwo inne także znalazłem. Już nie drobni kupczący i kramarze z okolicznych wiosek, już nie fabrykanci sukna i gręplarze wełny z sąsiednich miasteczek, ale ludzie odzieniem oznaczający swoje do wyższéj klassy, to jest do bogatszéj, należenie. Rozmawiali francuzczyzną przeplataną wyrazami Patoa, to o handlu, to o pobycie Marszałka Soulta w dobrach swoich tuż blisko Kastr, w wsi St. Amant, miejscu jego urodzenia, położonych; to o zwołaniu przyszłém izb, to o podatkach. Ten chwalił Rząd, ów ganił, a wszyscy powtarzali tę wieczną zwrótkę, że pieniądze są najważniejszą rzeczą, że dziś mało też ma człowiek znaczenia bez grosza. Tak to bywało i dawniéj i teraz, umiano tylko zamiłowanie się w tym kruszczu ubarwiać jakoś, i nie tak wyłącznem czynić. Smutna to jest własność natury ludzkiéj; chuć do bogactw tak człowieka opanowywa, tak go zaślepia, że zda mu się niepodobną być szczęśliwym, niemając krociów, milionów; a przecie jakże jest mało prawdziwego szczęścia w salonach bogaczy, a jak wiele pod dachem skromnych lepianek!

Obok mnie siedział młodzieniec, cery bladéj,

(4) Troyes, niegdyś stolica Szampanii (Champagne), dziś główne miasto (chef lieu) departamentu de l'Aube; o 40 mil od Paryża.

(1) Góry Śgo Felixa są odnogą gór sewirskich, ciągnące się ku południowéj stronie, a dzielące prowincyą Langwedoku na wyższy i niższy.

(2) Du Mege Stat. Depart. pyrenejskich.

oczu i włosów czarnych, zamyślony i prawie nic niemówiący. Zrazu wziąłem go za Włocha lub Hiszpana. Lecz rozmowa, w jakąś my weszli, wywiodła mnie z tego mniemania. „Pan do Tuluzy jedzie?“ zapytał. „Tak jest.“ „Ot Tuluza, jedyne miasto, drugi Paryż; jakie zabawy, jakie życie, co kobiet pięknych.“ — „Czy Pan mieszka w Tuluzie?“ „Nie, na nieszczęście,“ odpowie, „odbywam tylko moje nauki w tém mieście, chodzę na prawo, matka zaś moja mieszka w bliskości Kastr.“ — „Cóż tedy Pana prowadzi teraz do Tuluzy, wszak czas wakacyi jeszcze nie upłynął, po rocznych mozołach dobry jest wypoczynek na wsi, do wdzięków któréj tak mało przystają Kodex i Pandekta.“ — „Kodex i Pandekta, są tylko krótkim nawiasem, w okresie uciech i zabaw moich, mam majątek, posady żadnéj nie potrzebuję, na to tylko baczę, abym stopień otrzymał. Jakoś brzmi w uszach lepiéj nazwisko, skoro się do niego przyłączy tytuł: Magister prawa; jeno się czém pochwalić, to we Francyi popłaca. W tych dniach przybyła do Tuluzy jedna z piérwszych paryzkich aktorek dramatycznych, Pani Dorwal; lubię bardzo teatr, jadę ją zobaczyć, Pan także uczeń?“ — „Ja?...“ Chciałem odrzec, uczeń losu, ofiara smutnych wypadkow, ale wyrazy te skonały mi na ustach; pewna wstydliwość nas ogarnia, wyjawiając cierpienia nasze osobom nie będącym zdolnemi je rozumieć. Jakże wielką uczułem różnicę między mojém a jego położeniem. On wesół życiem młodości poezyi, wśród swoich, w ojczyznie mając do wyboru zostawione szczęście i rozkosze; ja przeszłością nieszczęść samych otoczony, łudzę się w obcéj ziemi, wśród rażącéj mnie teraźniejszości, słabemi połyskami nadziéji nigdy może nieuiszczonych. „Nie,“ ja jestem cudzoziemiec, przyjazd mój do Francyi niemiał na celu uczęszczanie uniwersytetu. Jednak życie ucznia bardzo mi się podoba, w jego to czasie używamy prawdziwéj swobody duszy i umysłu, późniéj troski i pieczołowitość o byt wygodny i cześcią światową otoczony, podają nas na pastwę różnym cierpieniom, w natłoku których tracimy czystość i prawość uczuć naszych.“ Wpadłszy w takich sentencyj labirynt, chciałem w nich bredzić daléj a daléj, aż zapytanie wszystkich prawie podróżujących: czy Pan nie Polak? stało się dla mnie nitką (kłębkiem) Ariadny. Na odpowiedź, że tak jest, tysiącem nowych pytań zagabniony zostałem. Ten ciekaw, w ile tysięcy opuściliśmy kraj nasz; ów, czy rzeczywiście były u nas regimenta Amazonek; ten, jaka była liczba zabitych Moskali pod Warszawą; inny chcę coś wiedzieć o Skyrczynski, o Klopiki. W takiéj wrzawie z ust każdego padały jak bomby pochwały: „„Walećzni Polacy;““ wy Francuzi północni; przekleństw także Carowi nie brakło; wszyscy zaś hurmem powtarzali: „Szkoda, że nas wstrzymano; ale to wina rządu, tego rządu półśrodkowych.“ Coś przecie trochę zaczęli wolnieć, z czego ucieszony, uczyniwszy jaki taki porządek w myślach, starałem się za okazanie współczucia podziękować, i opowiadaniem niektórych szczegółów zadowolnić.

Po czém zwróceni w ich własną, odleglejszą przeszłość, jeden po drugim jak mógł i jak umiał, wywoływał z niéj niektóre sceny owego dramatu, którego początkiem było zwołanie Stanów generalnych, a rozwiązaniem, śmierć więźnia Swiętéj Heleny. Rzeczpospolita, konsulat, cesarstwo, snuły się w ciasnym obrębie dyliżansu, jak w magicznéj latarni. Imaginacya wystawiała sobie owe czyny wielkością swoją, wydające się tak sprzeczne z tokiem powszechnych wypadków, iż nie podobno wierzyć, aby one do naszego należały wieku. Człowiek sam siebie nie poznaje... Nadzwyczajne zdarzenia, nadzwyczajną go także obdarzają siłą. Kloc drzewa, uniesiony na falach wezbranego potoku, roztrąca skały bieg jego tamujące. Ale czémże się staje w miarę jak woda opada?... Naprzeciw mnie w kącie siedzący Jegomość z twarzą okazałą, rumianą, nosa orlego, brwi gęstych, szarych, z sobą się łączących, (podług wyrażenia Wiktora Hugo, jak dwa byki idące do walki), ocieniających oczy, żarzące się jak węgle, dobrze łysy, z tyłu tylko głowy białych włosów szczycący się resztami, szczególniéj zajmował słuchaczy. Stary wojak z czasów Rzeczypospolitéj, był on wszędzie, całą przestrzeń, od Madrytu do Moskwy, przedeptał pod orłami Cesarza, pił wody Tagu z pragnienia, a Berezyny z musu. Znał też dobrze i Polaków, tych nieodstępnych sprzymierzeńców francuzkiego oręża. Poprawiwszy się trochę, tak między innemi rzeczami prawił: „Bogdajto da„wne czasy! Mars i Wenus były nam prze„wódzcami. Im tylko ofiary palić żołnierz fran„cuzki umiał; dziś — Król obywatel! oto jego „bożyszcze; fi dont, takie bałwochwalstwo trwać „długo nie może. Dawniéj ojczyzna jaśniała „blaskiem potęgi i chwały. W każdéj części „świata Francuz zostawił pamiątki zwycięztw „swoich. Na polu bitwy waleczny, przy dzie„wczynie składny, uprzejmy. Tylko Polak z nim „równać się może. Nigdy nie zapomnę dziel„nego Lassala; o! to dopiero żołnierz, szczęśli„wy kochanek. Służyłem pod jego rozkazami. „W 21 roku życia swojego, już był Pułkowni„kiem 10go regimentu huzarów; w 27 r. Gene„rałem dywizyi; a w 30 r., właśnie gdy miał „zostać Marszałkiem cesarstwa, legł na placu „bitwy. Wieść o śmierci jego przejęła smu„tkiem całą armią; lekka kawalerya przywdzia„ła żałobę. W nim huzary straciły ojca, Offi„cerowie najlepszego przyjaciela. Lubił on o„taczać się młodzieżą, równie jak on, miłością „ku chwale wojennéj i ku płci nadobnéj pała„jącą. Z nią żył, jak z równymi sobie, tylko „na koniu przed szeregiem znano rangę jego,



Kościół Śgo Franciszka w Chełmnie w roku 1833.

„Często po bitwie, dokazawszy cudów waleczności, gdy noc nadeszła, przy obozowém ognisku bawił się z Officerami swojéj dywizyi dowcipnemi żartami, wesołą gawędką, któréj przedmiotem, cóż innego być miało, jeżeli nie kobiety? Chwalono potulność i cerę śnieżną Niemek, wspaniałą a zarazem pełną uprzejmości powagę Polek. Lassal wprawdzie i jednym i drugim należnych hołdów nieszczędził, utrzymywał jednak, że po Francuzkach niemasz piękniejszych w świecie kobiet nad Kastylianki, poczém dodawał z westchnieniem: „„W przód umrę, niż zapomnę Syniorytę Maryą z Walladolidy.““ — Oh! Generale, mówili Adjutanci, jakaż stałość rzadka; nietraćmy nadziei, jeszcze nas może wypadki powiodą do Hiszpanii, a w ten czas będziemy mieli szczęście uwielbiać tę piękność, po której dziś Generał tęskni.“

„Nie długo, bo w rok późniéj, to jest 1808., armia francuzka weszła do Hiszpanii; awangarda złożona z 8miu tysięcy żołnierza, pod dowództwem Generała Lassala, już była przeszła, zbierając laury zwycięztwa, pod Wittoryą i Burgos, gdy Cesarz wydał jéj rozkaz zajęcia Walladolidy. Cały sztab tym wypadkiem ucieszony został. Przecież ujrzymy, powtarzano, Syniorytę Maryą. Po trzech dniach pochodu, wieże Walladolidy powitano nakoniec; ale cóż, wysłańcy, po wzięciu języka, przynieśli wieści, że 20 tysięcy Hiszpanów zajęło przed miastem stanowisko, w celu bronienia wszelkiemi siłami wejścia do niego. Lassal natychmiast zrobiwszy rekonesans nieprzyjaciela, a mniéj dbając na liczbę, przypuścił do ataku. Po kilku godzinach uporczywéj walki, gdy Hiszpanie w największym nieładzie uchodzić musieli, gdy zwycięzcy i zwyciężeni razem pomieszani do miasta wkraczali, Generał zawoła na swego Adjutanta: każ trąbić do odwodu, niech się kolumny zatrzymają! Adjutant zdziwiony, czyni mu uwagę, że dobrzeby korzystać ze zwycięztwa; a Generał tak odpowiada: Niechcę gwałtem zajmować Walladolidy. To miasto, co mnie tak gościnnie i mój regiment 107 huzarów przyjęło, będzie

„temu lat 7., wieleby mogło cierpieć. Nad-„to, jakże by mnie powitała Marya, gdybym „stanął przed nią zbroczony we krwi jéj współ-„ziomków. Więc tedy kolumny zwycięzkie prze-„stały ścigać nieprzyjaciela. Cios wymierzony „na Walladolidę odwrócony został, dla czego? „Dla tego, że jedna z jéj pięknych mieszkanek „głębokie zostawiła wrażenie na sercu młodego „Generała. Hiszpanie ochłonęli ze strachu, rej-„terada poszła z chwałą; dopiero władze miej-„skie z duchowieństwem w dalmatyki przybra-„ném przyszły błagać o łaskę zwycięzców. Ge-„nerał nie wzdrygał się długo; wojsko więc „nasze weszło do miasta, niedopuściwszy się ża-„dnego gwałtu! żadnéj swawoli! Tacy to są „Francuzi!" — Tu opowiadającemu oczy żywiéj błysnęły, brwi się w górę podsunęły, uśmiech pewnéj dumy i zadowolnienia zbiegł po licu dobrze zapłonionym. Lwy pod czas boju, baranki po zwycięztwie! Każdy z wojażerów niby westchnął, odkrząknął, przetarł oczy. Woźnica trzaskał biczem wesoło, dyliżans toczył się wartko po szerokiéj drodze, słońce skłaniało się po śnieżnych kępach obłoków ku zachodu krainom, stary wojak, zażywszy tabaki, tak daléj rzecz prowadził: „Niepamiętam jak się stało, „koniec, końcem: Generał stanął kwaterą aku-„rat w domu Synioryty Maryi. Rodzice wnet „go poznali. Gdy się powitań komplementa od-„były, matka rzekła: Pójdę poszukać córkę, „będzie bardzo rada z widzenia Generała, wszak „on nam tyle miłych zostawił wspomnień!" —

„Niedługośmy czekali. Otwierają się podwoje, „każdy z nas wyciągnął na pół łokcia szyję, „aby lepiéj podziwiać się nad tym cudem pię-„kności kastylskiéj. Niestety! jakiż zawód! „kwiaty i kobiety w Hiszpanii wcześnie się roz-„wijają, ale też słońce jéj palące zbyt wcze-„śnie także i jedne i drugie o zwiędłość przy-„prawia. Marya ukazała się, aż tu w oczach „ani widno żadnego ognia, cera naturalnie bru-„natna jakąś żółtością się pokryła, usta skrzy-„wione, a jakby na domiar nieszczęścia, gdy „je za piérwszym wyrazem otwarła, ujrzeliśmy „szczerbę dość szeroką między ząbkami już „niebiałemi. Tym widokiem Generał zdetono-„wany zupełnie, uczuł większą jeszcze gorycz, „spostrzegłszy uśmiech żartobliwy na ustach o-„taczających go Officerów. Z swéj strony, nie „bez pewnéj odrazy, także Marya spoglądа-„ła na długie i pokrętne wąsy Lassala, na je-„go faworyty, gęste, czarne, rozpierzchłe. Ani „mogła przypuścić, iżbyto był ów gładkiego „lica młodzieniec, którego często strojąc w swo-„ją mantyle, powtarzała słodkim głosikiem: „*Mira uste como esta semejante a una mucha-„cha hermosa*, (patrzcie, jak podobny do mło-„déj dziewczyny). Tak, nie był to już Achi-„les z Scyros, ale raczéj Mars w mundurze hu-„zarskim. W trakcie takiego dość zimnego a „kłopocącego spotkania, wręczono rozkaz Gene-„rałowi, aby się stawił natychmiast do Cesarza. „Tym tedy sposobem dwoje kochanków, niebar-„dzo zadowolnionych z siebie, rozstało się na „zawsze. Cesarz przyjął źle Generała. Jakto! „odnieść zwycięztwo tak walne i nie umieć „z niego korzystać? Ja chciałem przerazić du-„cha Hiszpanów! wołał z gniewem Napoleon. „Biédny Lassal czuł dobrze swój błąd, ale nie „mógł się z niego uniewinnić, ukrywając najsta-„ranniéj powody swojego postępowania. W krótce „jednak, gdy wspólnie z Generałem Latour-Mau-„burg wygrał bitwę pod Medyna, bitwę, która „całą Hiszpanią przestrachem napełniła, Napo-„leon znów najlepsze powziął o nim rozumie-„nie. Wezwawszy go do siebie, w te słowa „go powitał: „Doskonale Lassal, doskonale; je-„szcze jeden czyn taki jak pod Medyna, a bę-„dziesz Marszałkiem cesarstwa." Inaczéj wy-„roki zrządziły; 6go Lipca 1809 r. o 7. godzi-„nie w wieczór, szarzując czworobok austryacki, „jeszcze opór stawiający, nieustraszony Lassal, „kulą w głowę ugodzony, legł z chlubą na „placu bitwy pod Wagram."

D. *Józef z Kaleni.*

POEZYA.

Bóg już odpowiedział Konradowi.

Konradzie! ty poniosłeś przed tron Stworzyciela,
Tysiące zgonów
I jęk milionów.
W twój głos wielki, potężny, nadniebny się wciela,
I własną krwią serdeczną pioruny poléwasz,
I z serca niemych niebios głuche niebo zrywasz;
I Bóg już odpowiedział, sam Bóg Konradowi.
O! bracia wy odpowiedź Boga odgadniecie,
Bo ona jest tak jasna jako Bóg na niebie;
Bo ona już jest w każdym, przemawia do ciebie,
Szukajcie w samych sobie, szukajcie, znajdziecie,
Bo głosu już nie staje na ten cud Mistrzowi,
Bo słów, cudów niestaje, poezyi niestaje,
Bo coś do nas wyższego, większego powstaje,
Bo nam nic niewystarcza, nic nam nie wydoła,
I choćby sam głos nieba, sam głos Archanioła,
I choćby sam głos Boga, mało jeszcze, mało;
Głos bez cudu, bez czynu, nie Boga jest głosem,
Poezya w słowach tylko, nie jest już dzisiejszą,
Dziś całe życie nasze, pieśnią najcudniejszą,
Na której sam Bóg śpiéwa Stworzyciela chwałą,
Na któréj Bóg przegrywa wyższym, większym losem,
Bo co przeczuciem wczoraj, i nadzieją było,
Już się to dzisiaj z całą potęgą sprawdziło;
Bo co wczoraj śpiewały poetów natchnienia,
Dziś cudem się przelało w posąg poświęcenia,
W posąg rzeczywistości, i prawdy widoméj,
Którego niedosięgną poezyi ogromy,
I nie mogą wyrazić żadne wieszczów słowa,
I niewyrówna żadna nadniebian wymowa,

Bo prysła słów, gadanin, i wierszów opoka,
I uderzyła Bogiem słoneczna epoka;
I nad grom się rozjaśnia blada skroń Konrada,
Już on nieba nie pyta, już więcéj nie bada,
Bo Bóg już odpowiedział na jego pytanie,
Biada wam biada, bracia, jeśli niepojmiecie
Olbrzymiéj Boga pieśni, która śpiewa wami,
Bo wy jesteście sami téj pieśni cudami!
Biada wam, biada, jeśli dzisiaj słów wam stanie,
Jeśli tylko wyrazy na ten cud znajdziecie!
Jeśli słowa wystarczą, jeśli potraficie,
Deklamować, i pisać, i nigdy niestracić,
Wszystkich zmysłów, namysłów w olbrzymim momencie,
I nigdy nieutonąć w niebieskim odmęcie,
I wszystkich wirów bezdnem chwili niewzbogacić,
I na krok Herkulesa, wszystkich wieków życie,
Nieprzywołać, nieskupić, i tak, tak nieścisnąć,
Żeby z głazów krew trysła, i tak niezabłysnąć,
Aby gromy pobladły, ha! biada wam, biada,
Jeżeli wam głos ludzki wystarczyć dziś może,
Jeżeli niestracicie i głosu, i słowa,
Jeśli jest niepojętą ta pieśń piorunowa,
Którém zagrzmiało cudów, oceanów morze,
A którém błyska w bezmiar boska pierś Konrada,
Bo ja słyszę śpiew wielki, śpiew, który jest Bogiem,
Przed którym głos największy musi skonać, zginąć,
I słowo bez słów kona przed bezdennym progiem,
I nowe, nowe nieba zaczynają płynąć,
I pieśń, pieśń pryska nakształt kolumny z kryształu,
I rośnie z Boga, w Bogu, Bóg czyn ideału,
I widzę, widzę przepaść, otchłanie dramatu,
Aby go dźwignął, wybrzmiał, sił niestaje światu,
A jednak sił potrzeba, i takiéj potęgi,
Któraby ziemię, niebo, uniwersum całe,
I samego już Boga wyniosła nad Boga.

* * *

Czy wy pojmiecie, czém jest chwila wielka, błoga?
W któréj wszystko, i wszędzie za duszne, za małe,
W któréj wszystkie nauki, wszystkie świata księgi,
Ledwie na oddech starczą, wszystkie wasze słowa,
Wszystkie uczucia, myśli, rozumy i dumy,
Wszystkie chwały, wielkości, ledwie stóp są pyłem,
A nieba, nędzne nieba, ledwie są podnóżem?
Czy wy pojmiecie, co to czołem jasnem, bożem,
Podpierać serce słońca, i spalone tłumy
Przy życiu utrzymywać, kiedy świata głowa,
Tylko zepsuciem zgniłém.
Z jednéj strony skroń słońca, która z niebios spada,
Z drugiéj krew tego świata trupia, zimna, blada,
Spalona, wyziębiona, i dziko namiętna,
Tracąca pozór nawet człowieczego piętna,
Jest to przepaść nicości, co ratunku woła,
A niéma kędy wołać, bo nic nigdzie niéma;
Któraż myśl grom nicestwa bez drzenia wytrzyma?
Któż oko w oko stale nicestwu wydoła,
Któż wymówi: Ja jestem, i choćby nie było,
Samego Boga, choćby zostało mogiłą,
Wszystko, czego się tylko moja myśl dotyka,
Choćby punktu nie było, czasu, ni przestrzeni,
I choćby wszystko tylko na domyśle stawić,
I choćbym niemógł saméj nicości zadławić,
Choć światła w świetle niéma, ani w cieniach cieni,
Niéma samego niéma, choć przepaść nicości
Zawołała konając, i wszystko zginęło,
I słońce z nieba spadło, i nawet niebyło
Samego już nicestwa, coby snem pokryło,
Rozpadłe w sztuki świata, spróchniałe kości...
. . . .
. . . .
Tak więc wszystko minęło...
. . . .
I sam Bóg z nieba spada, ale myśl Konrada,
Samego Boga wstrzyma, i Stwórcy natchnieniem,
Samego Boga został krwawym, wielkim cieniem,
I zawołał: Ja jestem! chciał by świat mu echem
Odpowiedział, chciał ludzi do życia powrócić,
I własném życiem, wielkie dzieło zmartwychwstania,
Sam zaczął pośród ziemi, i niebios konania,
I zawołał: czas już żyć, czas książki porzucić,
Poezya i teorya największym jest grzechem,
Jeżeli w czyn nieprzejdzie, jeśli życiem całém,
Niewypłomieni wszystkich cudów Stworzyciela,
Bo Stwórca tylko życiem, bo Bóg tylko czynem,
I jedném poświęceniem, i poświęceń synem,
Kto z Bogiem raz na zawsze swe życie zestrzela,
Kto raz w bezmiar zabłysnął jednym czynem śmiałem,
Ten pozna, że jest niebios samodzielnym Panem,
Że sam, sam może zostać Stwórcą lub szatanem,
Że wieczność, niebo, piekło, są Jego sługami,
Że czas, i przestrzeń tylko ducha jest poddanym,
Chęć i możność jak piorun z błyskawicą razem,
Duch człowieka jest jednym nad wszystkiem rozkazem,
I może choć największy cud być wykonanym,
Jeśli ludzie na sobie poznają się sami,
Niéma niepodobieństwa, niéma próżnéj chęci,
Kto pragnął, a nie może, ten niezostał mężem;
Kto się waha, ten tylko podłą jest istotą,
Wykonać zamiar wielki jedną dzisiaj cnotą,
My dójdziemy do celu, zginiem lub zwyciężem,
Czyn wielki tylko wielkim skutkiem dziś się święci,
Bo już słowa skonały, poezya skonała,
W wyższą, i w wyższą sferę, jak pierś Boga brzmiała,
W wyższe i wyższe strony morze cudów świeci,
I Konrad śpiéwa ciągle, ale takim hymnem,
Na który słów, ni pieśni, ani głosu niema,
Świat téj pieśni, ni niebo, ni Bóg niewytrzyma,
Bo ona się unosi nad milczeniem zimném,
I ze świata poezyą na wieczność rozniecí,
Poezyą życia, czynu, cnoty, poświęcenia,
Ach! patrzcie, skroń Konrada jasnością okryta,
I do Chrystusa piersi cierniami przybita,

I dziwném, boskiém światłem ten świat opro-
mienia,
I szmer Jego krwi czystéj moję pierś kołysze,
W rodzinne nieba unosi;
Ach! ile cudów widzę, ile tonów słyszę,
Świat musi go zrozumieć, świat go już rozumie,
I Pan zstąpił na ziemię, mój duch go rozgłosi,
I Bóg już odpowiedział, nie słowy, lecz czynem,
I chwila zabłysnęła za sto wieków warta,
I została przestrogą dla wybranych dzieci,
I duch boski, młodzieńczy, dziwnym cudem świeci,
I pierś, pierś do przyszłości każdego rozdarta,
I każdy nie słów synem, ale czynów synem,
I każdy drzy do jutra w nadziemnym zachwycie,
I każdy czuje serca podwojone bicie,
I każdy stanął dumny, podniósł w niebo czoło,
I każdy patrzy z wiarą, roskosznie, wesoło,
I każdy się gotuje, bo to pewność, pewność,
I ręce się ścisnęły, serca otworzyły,
I lica raz pobladły, to znów się rumienią,
I dziwne boskich natchnień, zabłyskają kręgi,
Jak gdyby razem wszystkie zabrzmiały potęgi,
I jakaś nadpowietrzna ogarnia nas rzewność,
I oczy po nad słońca jak Bóg się promienią,
Bo serca odpowiedzią Stwórcy uderzyły,
Bo my bracia za wszystkiém, za samą nadzieją,
Bo my bracia giniemy w miłości zachwycie,
Bośmy dzisiaj poznali, że prawdziwe życie,
Od nas samych zależy, i łzy w krew topnieją,
I tylko martwe słowo na wieki zginęło,
I jakieś dziwne tchnienie dziwnego uczucia,
Same słowo z martwego wyrywa ukucia,
Bo już wszystko minęło, wszystko się zaczyna,
Bo już wszystko odżyło, i odpowiedź Boga,
We wszystkich sercach świta jednym, silnym
czynem,
We wszystkich żyłach płonie krwi czystéj ru-
binem,
I krew się burzy, pieni, nad wieczność się wspina,
Bo serca, myśli pękły.
Chwilo wielka, droga!
Któż gromem cię podejmie? Któż wyrówna tobie?
Tyś już błysła na słów grobie,
Tyś już była, Mistrz ją czuje,
Mistrz ją pojął, w nią uderza,
Bez ustanku nami,
Bo my czynów pieśnią sami,
Z nas on pieśń, wieczność wysnuje,
I nad wieki ją rozszerza,
I nad niebo ją wyniesie,
I w tę chwilę tak uderza,
Że świat gnie się, niebo gnie się,
Sam Bóg musiał odpowiedzieć,
Naszą wolą, naszą siłą,
Czas już światu opowiedzieć,
Co rozkazem Boga było.....
. . . .
. . . .
Pamiętajmy, że my sami,
Jesteśmy Mistrza pieśniami,
Że wielkość pieśni od nas zależy!
Że to pieśń piérwsza z otchłani wieczności,
Pieśń żywa, pieśń czyn, i pieśń poświęcenie,
Co przez swą wielkość wszystkich wieków cienie,
Swém niebios bezdnem jako Stwórca zmierzy,
Pomnijcie, jakie niebiosa wielkości,
Mają wypłynąć z młodzieńczego łona?
Że w was odpowiedź Boga jest złożona,
Że na was Bóg, Mistrz, i świat czeka cały...
Na waszych sercach złożyli swe dłonie,
Na waszych piersiach spoczęły ich nieba,
Dorównać bracia, dorównać ją trzeba,
Z serc naszych wieńcem otoczyć im skronie,
I tyle wylać z młodych piersi chwały,
By sam Bóg na nas spojrzał wzrokiem zadzi-
wienia,
By z naszych czynów stworzył nowych niebios
morze,
By z naszéj krwi uczynił Bóstwo poświęcenia,
. . . .
. . . .
I Konrad z grobu wstaje, i tak, tak już woła,
Że w czyn pękają serca, krwią tryskają czoła,
I krew w niebiosa bucha, bucha w serce Boże,
I tam brzmi, i tam szumi, Stwórcą Stwórcę
mierzy,
I w samym nawet Bogu na ciszę uderzy,
I w samym nawet Bogu zabija milczenie,
Czyż wy myślicie, że to nadboskie natchnienie,
Można dośpiewać słowami??
Że Konrad na to z grobu powstaje raz trzeci,
A żeby was rozczulał niewieściemi łzami???

* * *

Ha! na Boga, on powstał, lecz nie łzą zaświeci.
Ha! na Boga, on śpiewa; lecz wam wszystkim
biada,
Jeżeli sami pieśni sobą niedogracie!
Ha! słuchajcie, grom wielki, grom przestrogi pada,
I godzina uderza, a wy, wy stoicie......
I na cóż więcéj jeszcze, ha! na cóż czekacie???

S..........

Cała ta poezya jest osnuta na kilku słowach, zawartych w przemowie A. Chodźki do ostatniéj edycyi pism Mickiewicza kompletnych, wyszłych w 1844 roku w Paryżu; te kilka słów wyjaśniają lepiéj stan teraźniejszy duchowy Mickiewicza od wszystkich bredni, bluźnierstw, którémi starają się wytłómaczyć to, czego nie rozumieją. Te kilka słów są tytułem téj poezyi; czego chce od nas Mistrz nasz, łacno możemy pojąć, jeśli potrafimy się wynieść do Wysokości teraźniejszego czasu. Jak każda moja poezya, i to także jest tylko improwizacyą, jednym, że tak powiem, tchem pisaną.

S..........

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)